

boczny tor 401

pismo nie (p)o kolei

podniebyt

Dni najdłuższe

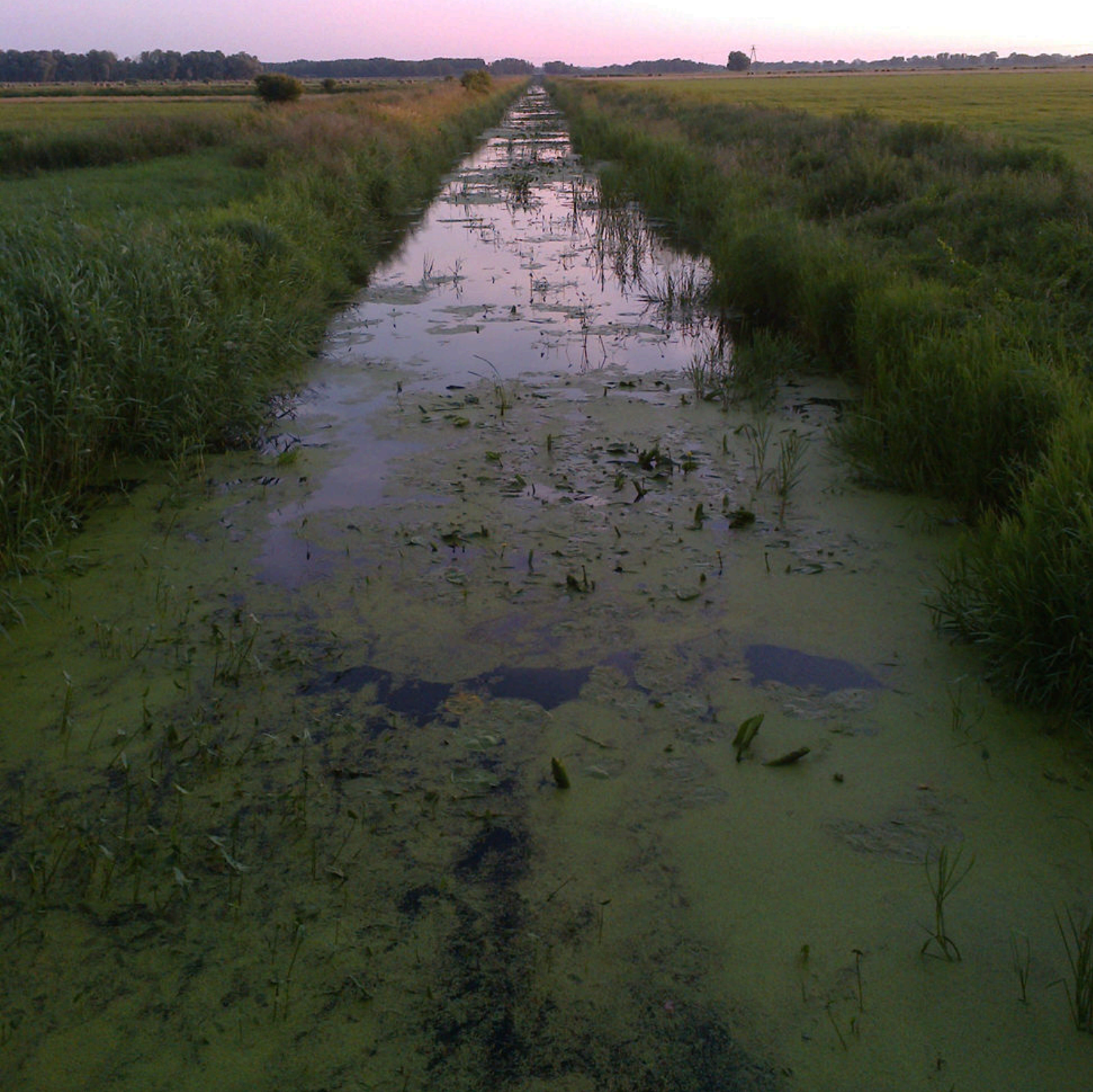
Jak to jest że wracasz
i uczysz się od nowa miejsc
gdzie nic się nie zmieniło
opornie przyswajasz
tę nieistotną wiedzę
miałeś w drodze jasną
odpowiedź: przebywanie

Czas gdy cię tu nie było
nie był czasem niebytu
nie skleisz nic tu teraz
przestrzenią którą naruszałeś
żadnym zdjęciem opowieścią
tej wietrznej szczeliny
otwartej

Takie rzeczy tylko w dni najdłuższe



Chciałbym opowiedzieć o śnie, który mnie nawiedza; w tym śnie odwiedzam siebie sprzed lat. O, jak bardzo naśmiewałem się z sentymentalnych westchnień, lekomyślnie rzucałem kamienie do wody... Przez lata gromadzą się mimowolnie wątki tęskne, skierowane do granic pamięci, tam gdzie skryte są zapewne magiczne dni, gdy nie dbało się o bisy w teatrze cieni. Teraz poruszenie nie jest poruszeniem, zapach ziemi nie jest zapachem ziemi, wiatr nie podcina nóg: sen śni się, obejmując konturem gasnące barwy. Nie tracimy więcej, niż moglibyśmy mieć — uspokaja jak melodia, której nie można sobie przypomnieć i spada naraz w dźwiękach pękniętej przestrzeni: rechocie żab, szeleście rozgrzanych do białości zbóż, szumie powietrza uchodzącego z materaca łąki po deszczu. To grozi poezją, lecz przecież nie chodzi o igraszki słów...





Co właściwie jest na tym zdjęciu
w spienionej wodzie
pamięci

nienasycenie tęsknoty w ujęciu
niechcącym się w całość poskładać
wir i zatrzymanie
ruch i oczekiwanie
dziwne odmiany melancholii

których nie ma
gdy jest

pewność że poza czasem
nie zaznasz wieczności





Się szło. Niejedną z tych dróg entlicznych pętlicznych, prostych jednak, najprostszych. Jak to powiedzieć, żeby wstrzymać uniesienie? Oddech — funkcja życiowa, w górach bardziej.

Lufcik pogodowy. Szlaki puste. Czas wykazuje nieciągłości. Gdzie wola, tam droga!

Się szło i się widziało. Ale i tego było mało. Bez widomej przyczyny, skutkiem się było nefatalnym, lekkim puchem w powietrzu i uważnym po dniu wędrowania stąpieniem, miłośnikiem dali, uważnym słuchaczem traw i kamieni się było. I powtarzało się po dniu dzień i w krótkie noce nie mogło się doczekać poranka: się chciało iść. I się szło... Zawsze chciałem to napisać bez względu.



Nie ty tędy

Nie ty tu ustanawiasz cele, nie ty stawiasz kroki. Decydujący moment, nie wiesz który, miesza szyki ruch chmur, patrz: jesteś wywrotny, zrozum: nieważne dokąd, pomyśl gdzie.



Za przelęczą myśli nie męczą

To nie jest trud iść, to lekkość jest.

Na przykład w porównaniu ze staniem
w dusznej kolejce po coś na śniadanie
albo (to już trudne srodze)
z próbą opisu: co w drodze, po drodze.

No, jak? Gdy iść znaczy być, po co z kłębka ciągnąć nić.







_____ Wierszyk z powodu pytania o sens
życia zadanego po drodze przez spotkaną
trzydziestolatkę i naprędce udzielonej
odpowiedzi: przeżyć _____

Jakiś sentymentalny dziad
pod mój naskórek się wkradł
sentymentalny cikliwy stary
wyciska mi porami ciary
i nakłania do puszczenia baniek z łez:
pacz pacz — jak pięknie jest!


A figa z makiem w złocieniach!
To tylko krótkie złudzenia.



M o j e w a k a j e



fot. za: Ambiwalentny stosunek do życia (FB)

A woman with blonde hair, wearing a vibrant floral dress and black high-heeled shoes, is seated on a train. She is leaning back against a grey seat. In front of her is a silver tray holding a brown paper bag and a blue object. The background shows the interior of a train car with a window and a chain-link fence visible outside.

_____ Pociąg zwany
pożądaniem _____

Jadą panny, jadą nad morze.
A stary człowiek — nie może,
bo do pracy, bo spóźnienie...
O, pociągu, nie wódź na pokuszenie!











Wierszyk z traktora

A może byśmy, moja droga,
poszli raz kiedyś do Koniakowa?
Wiem, wiem — to nurtu nie powstrzyma,
zerwana srebrna pajęczyna,
lecz może nasze poruszenie
rozwieje mgłę i ptactwo spłoszy...

Nic nam do siebie.

Przestrzeń rozkoszą.



Ani wiersza w drodze

W moim świecie fenki wyglądają
tak:

fenek



A wolność jest od czasu. Czyli złudna. Ale bywa i zdarza się zgubić własny cień i w słońcu pozostać. Wystarczy iść. Dużo iść. Mało spraw jest tak nieważnych, jak gdy się idzie; znikają w przestrzeni. Odległości odradzają. Nie ma mowy, że nie: się idzie, się jest. Nie ma co stygnąć, jak mówią (w)biegacze po krótkim postoju na szczycie. Daremnie tłumaczyć, nie napisałem ani słowa, by się zbliżyć, ani też nie oddaliłem się. Pięknie oszukałem czas i siebie. Gdy się idzie, milczy się rozmownie.





CZYHAĆ czy CZMYCHAĆ?
(rozterki ortoegzystencjalne)

Aż niebo bieleje
tak zieleń soczysta
papierówka spod liści
szepcze: korzystaj!

Liczę do trzech:
pojaw się,
znużenie!

Kiedy treść ujeździ formę,
pojedziemy razem hen
że ho.

W POKRZYW CIENIU.
Niech rymuje się z dobrze.
Jeśli się nie rymuje,
niech się nie rymuje wcale.

Spadź czy spać?

nie dziś nie wczoraj może teraz
w takie teraz co się snuje po nocy
co na nie dość ma smak nad smaki
co kołysze miękko wiatrem
aż nieruchomieją maki
póki sen wrażeń nie zatrze
póki skrzą jasnością oczy
w takie teraz mnie zabierasz
niewymowna potrzebo

ejże! dokąd kolego?
samo niesie echo echo
droga krótsza im dalej
to pociechą
ale
jeszcze nie wierz we mnie
jeszcze nie tym razem
jeszcze bądź przykładem
pogodzenia z dramatem
gdyż antraktem jest
ten czerwcowej nocy dzień
z prostych rymów ruin cień
oblepiony miodem mszyc

nie urośnie tutaj nic
trwałego
koniecznego
złego

w takim teraz tkwić
w takim teraz tkwić

Edytuj

Pokaż mniej





Myślę, że to nieprawda.

Co roku tak myślę: to się nie dzieje
naprawdę, żyjemy w pękniętej szybie,
stąd refleksy światła w rysach
od krawędzi do krawędzi. Nie wiem,
dlaczego przyszło skojarzenie z szybą.

Że wszystko za szybko? Licha puenta,
jak podmuch wśród łańców, patrzysz
w falowanie przestrzeni, drga ziemia,
poszerzasz obszary niepojętego,
przesuwają się slajdy, obłoki,
nie wiesz nic i jak przyjemnie.





Dama z motylkiem. Fot. dzięki uprzejmości **Galerii Łąków**

_____Wierszyk o użyciu_____

No więc sprawdzimy czy słowa
mają moc leczniczą
wybaczcie prostą historię
o użyciu

Aport aport
safort

lecę na wezwanie
na pysk na połamanie
czekałem na nie

Czy bawi cię moja bezradność
pewnie dławisz znudzenie
moim złudzeniem
że się zmienię
ale nie

aport aport
robię saport

Już wstydzę się tego
wstyd mi za głupotę
spodziewanie
zaniedbanie
lęki co potem

tyle czasu by wyznać szczerze
a streszczam książki nieczytane
spacer kawa rozmowa
niech tak zostanie
w słowach pochowam

i znów mniej więcej
twój sztylecik w moim sercu
bruhaha: wymyśliłem sobie ciebie
w oryginale jest inaczej
jest jak w niebie

Co jest ze mną nie tak
że nie słyszę odmowy
w szorstki świt dyszę
zalewa sok malinowy
lipiec gorący
smutek rozbierający
wszystko z głowy
litość kładzie się cieniem
kopiuję uczucia
zawiedzione
jestem refrenem
skończone

Chciałbym wyrzucić oczy
i zapomnieć jak się włóczyłem
wzrokiem po tobie

aport aport
saport robię



Barokowa dziewanna

Po czterech latach wrócił do mnie tomik wierszy Róże-
wicz: „zawsze fragment”. Dobry moment. Jak każ-
dy, tylko.

W połowie lata, gdy upał spowalnia krew, wbrew nie-
rozsądkowi i wakacyjnej chuci — choć czas dokazuje
miarowo i nie cofnie; wiadomo, nie ma odwrotu — nie
przychodzi innego nic do głowy, w mięśnie nie wnika,
jak fragmenty rozsypanej układanki, puzzle nie do zło-
żenia, z wielu pudełek, bez pudełek...

Pomyłone wszystko w ten czas, nie do pojęcia, objęcia:
co rozpiera, co dusi — i spadają w gąszcz traw owoce
nieodwzajemnionej miłości, aż do kresu wyobraźni
męczy, podsycą ślepe uczucia noc dręcząca, przerywa-
na snami: o byciu lepszym, niż się jest, indziej gdzieś.



Jakie szanse na poczucie chłodu wnętrza barokowej świątyni (czemu nie?) ma dziewczanna wykuwana słońcem w rysie chodnikowych płyt? Gdybym ją przeniósł do środka, nie miałaby szans, by czuć cokolwiek. Czy zakwitnie tu, gdzie jest? Zostawiam resztę jej życia wyobraźni: tam kwitnie zawsze. Tu tylko przez moment jesteśmy razem, rześko, w mojej imaginacji spotkania, wobec całej tej bujnej nietrwałości, która zaskakuje w tyłu fragmentach niepozbiieranych w sens, do utraty.

Oczywiście, nie ma mowy o wspólnocie doznań: pochylałam się nad sobą. Cóż zostaje? Zawsze fragment. Złudzenia nie chcą się dać pożegnać. Ale nie będzie to przeszkodą nie do wzięcia z marszu.

{Wstać i iść. Pod niebyt. Podniebny byt.}



Epizod pierwszy

Zobaczyć. Dokładnie przyjrzeć się
wschodowi i zachodowi słońca:
na falującej wodzie i pośród złamanego horyzontu
sprawdzić, czy na odwrocie tych pocztówek
jest poza powitaniem i pożegnaniem jakaś treść,
niezmyty tusz.

I przekonać się, że te najważniejsze już wysłane,
niewysłanych nie ma komu po co słać; ile już razy
próby okazały się cenniejsze niż niesyt zrozumienia.
Pozdrawiam wiatr, dal, co będzie.

W kolejnych odcinkach spróbuję przypomnieć sobie
moc pierwszej kawy i dam się zaskoczyć smakiem
czekolady.



Z notatnika
Ślepego Ogrodnika



Chwast na chwaście chwastem pogania. Proszę (na wstępie) wybaczyć niefachowość terminologii. Nie zaglądaliśmy do chwastoogródka już sporo czasu, nasza wiedza jest więc odwrotnie proporcjonalna do tempa rozrostu zieleniny (i jej schnięcia).

Jako że na starcie (kwiecień/maj) było sporo deszczu, w tym roku nie było zbyt dużo miejsca i czasu dla piacholubnych i w-słońcu-trwałych — zwyciężyły rośliny łapczywe na wilgoć i znoszące z godnością wszelkie zachmurzenia. To one, rozrastając się w piramidy liści, łapczywie i skutecznie zacieniły spóźnionych, nie dając innym szansy na wzrost w pełni wiosny i z początkiem lata. Wybuchła zieleń chaotyczna, coś kwitło na żółto, niebiesko, fioletowo, biało... I przekwitało. Subtelności zostały zatarte nagłymi ulewami i wyblakły w parzącym słońcu. Działo się. Bez mojej asysty. Może i jest mało efektownie, ale nie bez efektów potwierdzających moc życia. I pełnię lata.

Aktualnie, wraz z końcem lipca, ku radości owadziej bzyczącej gromady góruje swym słonecznikowatym kwieciem nieobecny w zeszłym roku topinambur. Wtóruje mu wytrwała cykoria podróżnik. Pojawił się nowy lokator spłachetka ziemi: pylenieć pospolity. Za ścianą tłustego listowia bzu cierpliwie przyczajone paprocie. Zakwita mięta, płożąca się jak zwykle bez pytania. Gdzie się dało wcisnął się, nieśmiały dotąd, niecierpek pospolity. Nikt nie wspomina już niedawnych (maj/czerwiec) chwil chwały glistnika jaskółcze ziele, jasnoty czy komarorodnej pokrzywy ani o wybitnie przerastającej samą siebie lepnicy białej, który wyssała życiodajne soki z igliaczka, doszczętnie dziś przepalonego. Szkoda go. Pociechę niosą kępki traw w odmianach kilku, choć bez szału uniesień, ale właśnie ta ich nienachalna w tym roku obecność koi po stracie, zacierają pył smutku łagodnością wiotkich źdźbeł. I oczywiście: nie tracąc zapachu, choć już nie kwitnie, dumnie przestrzeń zagarnia bluszczuk kurdybanek!

Trudno dostrzec w tym zostawionym sobie, nieskładnym zielonym gąszczu rozetę zeszłorocznej celebrytki dziewanny. Nie rzuca się do oczu jak dawniej babka zwyczajna, podobnie zagubione gdzieś zioła, rozchodniki, nieodrosłe od ziemi nagietki i reszta zaginionych w akcji: że wspomnę tylko o ubiegłorocznym mistrzu ceremonii „światło i puch” — nieodżałowanym kozibrodzie łąkowym. Rozsiał się przed miesiącami po całym chwastoogródku i czeka zapewne w glebie na przyszłe sezony.

Jak śpiewał Lech Janerka: w naturze mamy ciągły ruch. I dobrze, bardzo. I nawet jeśli trochę fantazjuję — nie mylę się.

[...]



BT nr 401 / pismo nie (p) o kolei / *podniebyt* / czerwiec-lipiec 2021
słowa: max zweit (z wykorzystaniem nawiązań m.in. do twórczości
Edwarda Stachury i Lecha Janerki oraz własnej), obrazki: dast